№ 10.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1846. Poznań, dnia 18. Maja.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedplata wynosi na pół roku talarów 3, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Niemasz wątpliwości, że wszyscy ludzie powołani są do pracy: nietylko religia nakazuje każdemu na swój chleb w pocie czoła pracować, ale zgadzają się na to filozofowie najuczeńsi i ludzie najprostsi. Tymczasem pracować i po większéj części wstydzą się jeszcze ludzie; wielu jest takich, którzyby nie nieśli pod pachą dużéj paki papierów, a bardzo mało kto z ludzi, należących do wyższego a nawet średniego stanowiska w społeczeństwie, szedłby z nowym kapeluszem w ręku, mając stary na głowie, a niesienie nowych kupionych sobie butów więcéjby go może karciło i nabawiało zmartwienia, niż kilko-miesięczne siedzenie w więzieniu. Jestże tego jaka fizyczna przyczyna? Oczywiście niemasz żadnéj, bo ludzie najbogatsi i najlepiéj wykształceni, bywają w ręku równie mocni jak ludzie ubodzy i bez nauki. Jeżeli więc będziemy zagłębiali się w szukaniu przyczyny, znajdziemy zawsze odpowiedź, że to wynika z obyczaju. U nas nosi każdy parasol nad swą głową, ale w krajach oryentalnych byłoby to niejednéj klassy zupełném zelżeniem, i parasol nad pańską głową zawsze niewolnik prowadzić musi.

Niemożna jednakże powiedzieć, że ci ludzie, którzy u nas wstydzą się nawet dla siebie nosić rzeczy, są próżniakami; pracują oni w inny sposób, a mianowicie przez rządzenie i kierowanie drugimi, przez ich nauczanie bądź pismem, bądź ustnie, przez ułatwianie interessów sobie powierzonych, przez obronę kraju i t. d. Z tego widzimy wyraźnie, że jak ludzie, tak ich praca dzieli się na pewne klassy i praca człowieka oświeconego jest stąd niedostępną dla człowieka bez naukowego wychowania, że jéj ułatwić nieumie, a praca zaś prosta, mechaniczna, dla tego niedostępna dla człowieka oświeceńszego lub bogatszego, żeby wstydził się jéj odbywać. Ten wstyd ma znowu w tém swoją zasadę, że człowiek ułatwiający taką pracę, do jakiéj jego klassa ludzi nieprzywykła, mógłby być przez drugich, którzy go nieznają, zostać policzony do klassy niższéj w społeczeństwie jak rzeczywiście należy. Dziś atoli następuje epoka, gdzie każdy każdego bez względu na jego położenie szanować ma obowiązek, gdzie od społeczeństwa o tyle więcéj ma prawo wymagać szacunku, o ile więcéj dla społeczeństwa czyni. Z téj więc wychodząc zasady, każdy pracujący bez względu na rodzaj pracy zacznie używać wyższéj godności aniżeli próżniak. Ludzie nie zewnętrznemi stosunkami ale zasługami będą się różnili między sobą. Wyniesienie wszelkiéj pracy do pewnéj godności nietylko pojedna bardziéj klassy społeczeństwa, wytępi nędzę, postawi moralność na wyższym stopniu, ale nawet zasili stan zdrowia ludzkiego. — Gdyby n. p. uczeni na przemian zajmowali się swemi pracami literackiemi i rzemiosłem tokarskiém, stolarskiém, ujeżdżaniem koni i różnemi podobnemi zatrudnieniami, byłby ich żołądek, umysł, duch, a nareszcie owoc ich ducha całkiém innéj siły; niechodziliby wybladli, odęci lub wyschli, ze wczesną podagrą, albo rumatyzmem. Pisarzom postępowym, krzyczą w uszy krytycy: jesteście ludźmi niepraktycznymi, chcecie odmian niepodobnych do przeprowadzenia, ale ci pisarze mają wielkiego sprzymierzeńca, bo mają harmonią natury na swéj stronie. Żadna siła niepotrafi

ich zwalczyć, bo oni opierają się na sile przyrodzonéj świata, na sile boskiéj, mocniejszéj niż para i inne wynalazki ludzkie.

Stanisław Jaxa.

Szlachecka gadka.

(Dokończenie.)

V.

Po Ojcowskim czarnym borze turkaweczka grucha, — tęskliwy śpiew, istny wiatr, leci od skały do skały, od przygórza do przygórza, co pstremi płotami obsiadły sobie krasne odole, — każdy kamuszek, każde oddzwania nim ziółko, — a ptaszynce słodzéj, miléj, jakby ją co po serduszku głaskało; — na ojcowskim zamku, w wysokiéj komnacie młode dziewcze — sierota płacze i płacze i wzdycha, marnuje urodę — boży dar, i nikt nie usłyszy rzewnego łkania, nikt nie obetrze z zamglonych ocząt — z pobladłéj jagódki, gorącéj łzy! — Pan starosta jak wystrzelił z kopyta do Krakowa, czy za Kraków, oj my wiemy kędy, ale ona nie wiedziała, tak już czwarty zeszedł ranek, jego ani słych, ani dych. Oj ale nie za nim, nie za nim dziewczęciu tak straszno łupoce serduszko; jéj tęskliwe westchnienia za kim innym lecą jak orły na boje, na krwawą wojenkę! — Jak lecieć nie mają, kiedy tam jest ten, co je pojmie, upieści — przytuli, — kiedy każdemu miléj u swoich. Płowe chmurki, jak łabędzi stada, żeglują sobie po niebie, — żeglują tak swobodnie, szeroko! — leśne ptaszęta huśtają się po zielonych gałązkach leszczyny, tak wolno — leciuchno! — w przezroczystym Prątniku tak falki szumieją srebrno, łoskotliwie. Chmurka chmurkę dogoni, ptaszek z kochaną ptaszynką się zejdzie — falka falkę uściga, mój Boże, i cieszą się jak w niebie. A dla niéj już wszystko przepadło!... sprzedała swoją urodę i szczęście; — ale to za życie ojca — ojca!... Panie zmiłuj się nad sierotą!

Na zamkowy sad przyleciała z lasa sroka, i wrzeszczy: goście! goście! — Zamkowi ludzie biegną z około, każdy zerka — upatruje gdzie może, jak może. W tém z muru zapadliny zaskrzeczało coś przeraźliwie, trupio. — Jezus Marya to puszczyk, czy nieczysta dusza! — Sroka uskakuje z drzewa na drzewo, a śpiewa coraz ciszéj i ciszéj, straszliwy skrzekot gra coraz huczniéj i huczniéj. Aż na raz wszystko zagłuchło — zamkowi ludzie drżą jak osiki, żegnają się w Imię Ojca i Syna. Wszelki duch... ej nie pomoże żegnanie, nie pomoże zaklęcie na bożą wolę.

Po dziedzińcu u bramy rejwach, — hałas, harmider; — zwodzony most rzucają w duchu; — grabową ulicą, po grobli wali suto kolasa jedna i druga i trzecia. To pan starosta z wesołą czeredą, — sroka zgadła; czy też zgadnie i puszczyk? Bóg wie.

Pan Opolecki wyminął wszystkich, — bo pilno mu zaiste, cierniami kłuje po sercu namiętność. Już wali na wschody, i Franusia już łezki otarła, już doń bieży, — oj ale nie dla niego! Ją co innego pcha tak nagle, co innego wygrywa po duszy.

„Mój ojciec! mój najdroższy – jedyny ojciec kędy?“

„Żywy i wolny nadobna dzieweczko!“ — odbił szybko pan, całując ją w śliczne czoło. „Tak — żyw i wolny, ale ja Mopanku przyskoczył do ciebie z czém inném,“ — ciął daléj, ale czegoś stargano niespokojnie, i niespokojnie łypał w okół oczami. „Franusiu, uczyń mi jeszcze jednę łaskę ażali wola; — na miłość boską skryj się do wieczora w narożnéj komnacie, — nie pokazuj się żywéj duszy. Zwalili tu panowie, krewniaki, sprawa moja w tém wielka, największa, by ciebie nie dojrzeli.“

„Jakoż to mości starosto — więc wy sromacie się przed światem żony?...

„Żony? — tak... nie... żo... żo...ny,“ chłypał Opolecki zmieszany, rozczerwienion jakby ów wyraz kością w gardle mu stanął. „Żony Mopanku, ale boż ślub i żo-żo-ny.... I byłby tak krztusił się tęgą godzinę jeszcze, kiedy nagle zmącony przeraźliwy krzyk, jak wicher, drzwiami, oknami walił w komnatę z dziedzińca.

„To mój ojciec! — to ojciec!“ — zakrzykła sierota pół boleśnie — radośno na poły, boć i tamto nie był odgłos roskoszy, wyrywając się z ujęcia Opoleckiego.

„Stój! stój szalona! — Djabeł sprzysiągł się na mnie i przyniósł go tutaj Mopanku! — co czynisz — stój przez Boską miłość!“ wrzeszczał, goniąc ją, szarpany dziwnym jakimś strachem czy sromotą. Ej ale gonił na próżno, napróżno! — Dziewcze lekkie jak ptaszek, — jak ptaszek wefurnęło na wschody.

„Ho ja nieszczęśliw!“ zawył piekielnym głosem, łamiąc ręce jak suche szczepy, i wszystko piekło grało mu po skoślawioném obliczu.

„Nieszczęśliw! — Mopanku, Pan Bóg mnie karze, ho! — ale obaczym kto też mocniejszy! — kończmy jakośmy zaczęli!“ — dobił sowio, wściekle,

i wystrzelił za dziewczęciem z komnaty. Na szerokim dziedzińcu, stoi w wianek panów gromadka, i churma dworzan i starościńskich hajduków z półkopy; — w pośrodku starzec jakiś siwiutki jak gołąbek, w szlacheckim odświętnym stroju, — ale z obliczem zmiętém dziwnie — nieludzko — niby hardością i rospaczą i bólem i pogardą na społy, tuli konwulsyjnie młode — nadobne dziewcze do piersi. — To pan Jaxa Stanisław, to jego jedyna Franulka! — Onci, nie kto inny; ale czegoż miasto staréj bywało pogody, taka burza wichrzy mu po czole? czego takie zbłąkane — jaskrawe, spokojne niegdyś oko? — czy to że złe hajduki odtrąciły go tak nielitośnie od bramy? czy co inne? — panowie zdziwieni, osłupiali gawronią to na nich, to jeden na drugiego, a ramionami strzygą, a głowami kiwają, zwyczajnie jak na niemieckiém kazaniu.

W tém z podwoi ostro wyskoczył Opolecki. Stary go nie ujrzał, i nie ujrzała dziewczyna; ale w lot jeden z panów najdostojniejszy, znać to i z miny i z stroju, i z pychy, z groźném, chłodném obliczem sunął na przeciw niemu.

„Mości starosto! — tego owego wczoraj, ślubowaliście przed Bogiem i ludźmi wiarę mojéj dziewce; człowieka bez czoła — dziś, co znaczy pod waszą strzechą ta niewiasta?“ grzmił gromkim głosem, dobijając na wtór pozłocistą karabelą.

„Znaczy Mopanku, że nie wtykaj nosa między drzwi, kiedyś o to nie proszon, i że każdy sobie pan na swoich śmieciech!“ odbił mu jak szablą w łeb rozindyczony starosta. Grom słów zaszumiał, i zgasł w powietrzu, on odrzucił hardo oczy, i wali prosto ku dziewczęciu i staremu szlachcicowi.

Ale i stary nie usnął w powodzi uciechy. Na brzęk znanego głosu, jak na urok czarów wstrząsł się straszliwo, zadygotał — istno byś go z waru w lodową wrzucił kąpiel; — drżące dłonie opadły z uścisku, wyprężyły się — ścięły — pozieleniały, jak półzgniłe ręce trupa; twarz skrzywiła się jeszcze przeraźliwiéj — źrenice jak dwa noże utonęły w obliczu starosty. A ten nie pyta — jak walił tak wali, już dłonią chwyta prawie śnieżną sukienkę dziewczęcia.

„Pójdź precz zbójco!“ — zawrzasnął Jaxa szalenie, odtrącając istno marny liść hardą dłoń starosty. „Precz ażali żywot ci drogi! — jeszcze nie twoja ofiara!“ I jakby dwudziestoletni młodzian, jedną rękę obrzucił wedle wielkiéj kibici córy, drugą groźnie śmignął ku górze iskrzącym jak brzytwa kordem, i stanął jak posąg boleści i grozy.

„Mości Chorążycu!... zaczynał starosta.

„Milcz żmijo — Mościdzieju! przywalił go hucznem słowem. To więc za taki pieniądz sprzedałeś mi marny żywot! Sromotą najmilszego dziecięcia, jedynego skarbu mego na tém świecie, dokupiłem się wolności!... — ja głupiec stary!... Miłyż mój Boże, nie syty byłeś zdrady, jeszcześ hańby pożądał!... hańby tego niebożątka, temu, że biedne, że rozwiała się stara Jaxów potęga! że ona sierota, sama jedna na całym szerokim świecie! — I tego niedość bezlitośny, wczoraj mi w niéj pokalałeś cześć, kupioną krwią tylu przodków, dziś, poślubiwszy inną, przychodzisz jeszcze bezczelny, mnie ojcu pluć w oczy mą hańbą!... A i ja szlachcic polski, taki dobry jak i ty magnacie! Mośdzieju niepoczciwy!... a to moje jedyne, zbezcześcione — biedne! — Jezus Marya!“ i urwał — tylko ucałował pół omdlałe dziewcze, i uderzył w serdeczny płacz, jak nieletnie chłopię. Ale płakał nie długo; jeden rzut oka na starostę, a zgasły jak mgła niewieście łzy. — „Ho ale żyje jeszcze Bóg mściciel,“ zakrzyknął dziko: „jeszcze nie zgnił miecz Jaxów! djable kusicielu — broń się! — podły — broń się, bo cię zabiję!...

I szlachcic jak wściekły odtrącił jednym rzutem dziewcze jak martwą bryłę, — zaświsnął kordem w krzyżową sztukę na cztery wiatry, i oślep rzucił się na starostę. —

Mości Chorążycu — stójcie!... upamiętajcie się przez Bóg żywy! upamiętajcie mosanku! wołał uskakując Opolecki. — Ej lecz nadarmo, nadarmo! — Mój jasny panie — i już ni twoje wysokie zamczysko, ani twoje złotem tkane herbowne klejnoty, — ani twoja harda pycha — ani twoje chybkie nogi, nie były by cię zbawiły od śmierci! —

Kord Opoleckiego syczał jak żmija nad twoim karkiem, mogilne robactwo radowało się na ucztę z trupiego cielska! Pan Bóg zechciał inaczéj — i żyjesz. W saméj chwili razu, stalista rohatyna nadwornego hajduka, stanęła jak żądło żmii między szlachcicem a panem. I pan ocalał zdrów, szlachcic w pędzie uderzenia nie podołał powstrzymać się, wpadł jak motyl na ostrze. Krew buchnęła strumieniem z piersi, włocznia przebodła serce na wylot.

„Boże — Franusiu... Miłosierdzie!... zajęczał jeszcze, ale tak strasznie i boleśnie i trupio i mdło i cichutko potem, — że wszystkim rozdarły się dusze. Kord śmignął młyńca w powietrzu, i upadł z rozbitym brzękiem gdzieś w trawę, — nieszczęśliwy zwalił się na ziemię, — westchnął jeszcze słabiutko, i dusza z westchnieniem uleciała do nieba.

A Franusia! ho biedna ona — biedna!... nie bardzo, nie długo czuła. Jak z przeraźliwym krzykiem padła na ojcowskie, pokrwawione ciało, tak omdlała, blada, sina, martwa, jak kawał drewna, albo kawał skały, leżała długo i długo. A taki anielski, rzewny, boleśny wyraz jakiś dziwny obsiadł na zatrupiałéj twarzy, takie harde i przeraźliwe i dzielne i okropne były ostatnie owe chwile starca szlachcica, owo oczyszczenie pokalanéj cześci, że wszyscy jak stali tak zapłakali rzewnie serdeczno. I panowie zapomnieli swaru, poklękali w około, i modlili się szczerze — i starosta zbladły, zmieniony upadł na kolana, i łkał jak bóbr, i całował martwą rękę starca, i wołał: daruj! daruj! — Oj po czasie — po czasie — ależ lepiéj jak nigdy!...

A potém otrzeźwili Franusię, — i biedne dziewczątko już nie poznaje nikogo, — ani ojcowskiego trupa, ani zamku, ani bożych ludzi, ani świata; — tylko miasto płakać na biedną swą dolę, to wyśpiewuje sobie jakieś cudowne rozstrojne piosneczki, tylko z obłąkaném okiem, jak cień z innego świata, błądzi z księżycznym promieniem po odolu, tylko się śmieje, ale tak strasznie pusto, jak trupi czerep, tylko szczebioce dziwne niepojęte słowo; a potém znów śpiewa, znów się śmieje, znów płacze. — Oszalało biedactwo!... aż i Bóg dobry zlitował się i zabrał wnet do swéj chwały.

Wieczny im odpoczynek! wieczny odpoczynek cieniom zgasłych dni — zawiodła znów blada wieżyca.

Wieczny odpoczynek odgruchnęły zapleśniałe ruiny zamczyska, i siwe skały, i ciemne bory i zwierciadlany Prątnik i srebrne chmurki. Pacierz wionął ku niebu, długo, długo grał jeszcze po błękitów morzu, aż i utonął gdzieś w gwiazdach. — Wieczny odpoczynek! —

S. Ch.........

STANY ZJEDNOCZONE PÓŁNOCNÉJ AMERYKI

przez

Fryderyka Raumera.

W dwóch częściach.

U BROCKHAUSA W LIPSKU.

Nowe to dzieło wielostronnie ukształconego autora ma niezaprzeczoną wyższość przed innémi wydaniami o Ameryce pod względem bezstronności i historycznego poglądu, lecz z drugiéj strony brak mu życia, świeżości i pochwytu indywidualnego stosunków i właściwości nowego świata. Jest to poucza- jąca księga o Stanach zjednoczonych, za którą winniśmy wdzięczność autorowi, lecz mógłby ją tak dobrze w stolicy państwa pruskiego napisać, oprócz listów w dodatku zamieszczonych, przy tak obszernych źródłach jakie miał tamże pod ręką, choćby sam nie był zwiedził Stanów Zjednoczonych. Z massy cytatów okazuje się niezmierna znajomość dzieł najrozmaitszych i źródeł rzeczywistych, z których czerpał autor, lecz z własnego poględu i pracy zdaje się, iż tylko poznał mniejszą część Stanów Zjednoczonych, a gdzie źródła nie wystarczały, tam się odwoływał na powagę mężów rozumnych, lub statystyczne podania w pismach publicznych zawarte. Niektórych przedmiotów tylko ulotnie dotknął, a zamiast własnych wniosków trzymał się zdań amerykańskich lub europejskich autorów, w których czytelnik nie zaznajomiony z historyą, nie łatwo umie się znaleść. Był to sposób najłatwiejszy do uwolnienia się od zarzutu stronnictwa, ale też z tego powodu nie dostaje téj książce uroku nowości, oryginalności i indywidualnego pojęcia. Pan Raumer nie skreśla wrażeń, jakie uczyniły na nim Stany Zjednoczone, co uważał za właściwy charakter, przymiot i osobliwość Amerykanów, lecz daje nam historyczną rozprawę. Objaśnia on pojawy, które przed nim inni autorowie do sytu opisali, i w tém jest bardzo szczęśliwy, prawdziwy i zadowolający. Książka ta jest dla Anglii fenomenem i zapewne znajdzie w Ameryce swych zwolenników.

Pierwsze rozdziały, zawierające wiadomości geograficzne, historyczne i biograficzne możemy opuścić, nie zawierają więcéj nad lekki przegląd osad, postępu i wybicia się na wolność trzynastu osad północnoamerykańskich, z krótkiemi wyjątkami z życia Wasyngtona i Jeffersona, znajdziem w nich opis podobny, jak w każdém dziele uczonego Niemca, który za źródło do swojéj pracy użył Grahama i Bancrofta historyą Stanów Zjednoczonych. Musimy jednak tę oddać sprawiedliwość panu Raumer, iż przy tém pobieżném zestawieniu wypadków i najznakomitszych mężów, wyszedł z prawdziwego stanowiska amerykańskiego i nie uważał rozwoju państw nowego świata, jako wyrodzenie się europejskich stosunków, lecz jako dalszy ciąg postępowéj historyi. Tymczasem zupełny rozdział francuzkiéj od amerykańskiéj rewolucyi i zaprzeczenie wzajemnego ich na siebie wpływu, należy raczéj do systematu autora, aniżeli do właściwéj historyi. Pan Raumer powiada między innémi o ogłoszeniu niepodległości Unii co następuje: Dawniéj i teraz uważano ogło-

szenie to amerykańskie z przeciwnych zupełnie stanowisk.

Bezwarunkowi nauczyciele boskich praw i ślepego posłuszeństwa, jakoteż zwolennicy prawa jakiegokolwiek buntu, rozwięzują z lekkością dzieci wszystkie pytania stanu i stosunków społecznych, mierząc wypadki na jeden łokieć i przykładając je na jedno kopyto, bez zastanowienia się nad powodami, treścią, rozwojem i wypadkiem ostatecznym. Pozorowa ta nieomylna mądrość wikła się za każdym razem w błędy i głupstwa, by upiora swawolnéj zasady posadzić na tronie, jako zbawienie przynoszącego. Ten osad martwy, to caput mortuum zapatrywania się niby głębokiego na dzieje, zarówno uważa trzydziestu tyranów, decemwirów i triumwirów, Gesslera i Tella, Albę i Wilhelma Oranii, Karóla I. i Kromwela, Jakóba II., Wilhelma III. i Ludwika XVI., Wasyngtona i Robespiera, prosty bunt i najszlachetniejszy opór, i stawia kilka czczych pojęć o prawdziwém natchnieniu i głębokiém pojęciu. Wracamy, bez zbadania bliższego tych jednostronnych systematów, do historycznego opowiadania dziejów, objaśniających dostatecznie zasady.

Oświadczenie to przecie zdaje nam się być zbyt ciemne i wydaje nam się, że autorowi mniéj tu chodziło o przedmiot historyczny, jak o własne stanowisko do stronnictw, aby między ostatecznościami znaleść średnią drogę. Właśnie to rozstrząsanie i osądzenie jednostronnych systematów, z odwołaniem się do historyi amerykańskiéj i pojawów teraźniejszości byłoby nader zajmującém i najpiękniejszém zadaniem autora, gdy teraz jest tylko opisem Ameryki.

Sposób, w jaki pan Raumer pochwycił charakter historyczny Jeffersona, dowodzi głębokiego badacza. Wątpimy, czyli na jego zdanie zgodzi się krytyka angielska. Prawdą jest co pan Raumer powiada o Hamiltonie i mężach jego stronnictwa: „uważają oni angielskie stosunki za najwyższe w świecie, za non plus ultra doskonałości i użalają się, iż nie wszystko da się przenieść do Ameryki i dla tego ograniczyć się tam muszą na rzeczach pomierniejszych i gorszych. Błąd ten uczepił się najbardziéj dzisiejszych wigów, dla czego ich dzisiaj antiamerykańskiem czyli angielskiem nazywają stronnictwem. Bardzo trafną jest uwaga autora o pisarzach angielskich podróżujących po Ameryce: Stany Zjednoczone północnéj Ameryki są dla nich przewrotnością, ponieważ nie znajdują w nich króla, lordów, izby wyższéj, pierworodztwa, panującego kościoła i tak daléj aż do peruk sędziowskich. Widzimy z dzieła pana Raumera, żeby chciał nam daleko więcéj powiedzieć niż w rzeczy saméj powiada, ale w tém idzie za zasadą Schillera:

„Każdego mistrza poznam po jego słowie,
a o czém rozumnie zamilcza, wyczytam ze stylu.“

W téj oględności autorskiéj tak dalece zachodzi, iż nawet w rozdziale dwudziestym dziewiątym, gdzie mówi o amerykańskiéj policyi, nie poświęca temu przedmiotowi więcéj nad cztery kartki, lubo wiele o tém i nadzwyczaj ważnych rzeczy powiedzieć można. Być może, że autor chciał przez to powiedzieć, jak mało zważają w Ameryce w porównaniu do Europy na tę uprzedzającą władzę? Ale i do tego rozdziału wcisnęły się błędy, gdy autor policza błędy cielesne, przedawanie brzydkich książek, bluźnierstwo, przeklinanie i pijactwo jako należące w zakres policyjnych przestępstw. Nie masz podobnéj policyi w Ameryce, ani nawet w Anglii, któraby tego rodzaju występki zakazywała lub karała. Zakaz ich należy do prawodawczego ciała, a ukaranie do sędziów przy pomocy sądów przysięgłych. Policya i wszystko co do niéj należy, jest służebnicą praw po za jéj zakresem utworzonych i stoi wszędzie pod rozkazami władz miejskich i wiejskich. Najniżsi sędziowie są wybierani z ludu, a ci wybierają służbowych agentów lub też lud ich wybiera podobnie jak sędziów. W Ameryce nie masz różnicy między upoważnieniem prawném i policyjném, ponieważ policya nie może udzielić żadnych upoważnień bez rozkazu sędziego cywilnego lub jakiéj władzy odpowiedzialnéj exekutywnéj, wybranéj przez lud, wyjąwszy, że w pewnych przypadkach dozwala im wykonywać prawo urzędnik cywilny, n. p. major miasta lub szeryf. Z tego powodu w Ameryce nie masz ministerstwa policyi, jest to tylko funkcya bardzo podrzędna, o czém pan Raumer w tych słowach mówi: samo się przez się rozumie, że urządzenia europejskiéj policyi i jéj dozory, wcaleby się w Ameryce na nic nie przydały. Niechcąc jednak, aby go źle zrozumiano i mniemano, że zupełna panuje anarchia w Ameryce, przeto dodaje: rzeczą byłoby zupełnie błędną, gdyby sądzono, że policya o nic się nie troszczy i pozwala na wszystko. Owszem prawa policyjne są wyborne. Tu autor widocznie miesza policyą z prawami, które zupełnie są innéj natury. W Ameryce policya przesadza się w grzeczności. Tak n. p. rzekł urzędnik policyjny do jednego wichrzyciela: mój drogi przyjacielu, bądź tak łaskaw i idź sobie do domu! Twoja żona, twoje dzieci kochane zapewne się troszczą o ciebie. Takie grzeczności zapewne zdziwią europejczyka, a my

przyznać musimy, iż przypomnienie wichrzycielowi dzieci i żony, skłoniły go najłatwiéj do powrócenia do domu, gdyż to jest najlepszy sposób do przemówienia do niego. Grzeczność takowa najlepszym jest dowodem przeciw skreśleniu w jaskrawych kolorach rubaszności amerykańskiego ludu.

Autor poświęca historyi banku Stanów Zjednoczonych osobny rozdział. Zdanie jego o przesileniu handlowém w unii jest prawdziwe i sprawiedliwe. Cudzoziemcom i krajowcom poświęca p. Raumer osobny rozdział. Zwraca uwagę na wielkie korzyści, wypływające z przybywających osadników z Europy i na niepolityczne postępowanie krajowych sekciarzy. Zadaniem Amerykan najtrudniejszém jest wprowadzenie żywiołów europejskich w całość harmonijną, usuwanie kastowych różnic, któreby stawiały największe trudności temu zlaniu się w jednę harmonią polityczną. Poznali to także Amerykanie w ostatnim czasie, przez co pytanie to zostało już naprzód ułatwione.

Statystyczne podania autora względem ludności, handlu, fabryk i t. d. są wyjęte z najpewniejszych urzędowych źródeł i wspierają nadzwyczaj jego zdania. Zwracamy się od téj części dzieła do krótszéj rozprawy o niewolnikach. Autor mówi:

Ze względu na Murzynów, mówią jedni, tworzymy wprawdzie arystokracyą, ale między nami tylko jest jeden stan, stan plantatorów. Tworzymy najczystszą demokracyą i jesteśmy w stanie na korzyść klass pracujących na północy nadawać prawa, ponieważ jednocześnie spożywamy i produkujemy przez naszych Murzynów. Fabrykant i kupiec północy przemawiając za mytem robotnika lub biednych, sprzeciwia się własnemu interesowi. Demokrata zaś południa nie obawia się przez wolność być pomieszanym z klassą roboczą lub przez nią przegłosowanym. Producenci południa milczą i ich nagroda rośnie w miarę posłuszeństwa. Dotąd tylko mieszkańcy południa pracowali na wolność i z wyjątkiem Van Burensa i obudwóch Adamsów, (z których dwaj ostatni byliby przyprawili Unią o upadek, gdyby nie oponowało południe), wszyscy inni prezesi Stanów Zjednoczonych byli z krajów południowych, a co większa sami bohaterowie rewolucyi, Wasyngton, Jefferson, Madison, Jackson i inni byli posiadaczami niewolników.

Ci jedni, którzy tak mówią, są to autorowie w kwartalniku niemieckim za rok 1838., na stronnicy 87, których przecie niemożna uważać za powagę amerykańską. Autor tak daléj mówi: Wolność potomków afrykańskich w Stanach Zjednoczonych nie może się zgadzać z bezpieczeństwem i wolnością potomków europejskich. (Tu przywodzi Claya mowę II., 418). Pod ruiną zjednoczenia pogrzebanąby została prędzéj, czy późniéj wolność obu rass. Wy klassy robotnicze północy, któż opłaca wasze myto, jeżeli nie państwa, w których utrzymują niewolników? któż broni was przeciw podatkom i monopolom, jeżeli nie my? A jeżeli wątpicie o naszéj szczerości, przyjdźcie do nas i przekonajcie się, że u nas nie ma biednych, motłochu, a nasi niewolnicy daleko szczęśliwiéj żyją, niż wasi robotnicy w fabrykach, którzy pracują przez dwie trzecie życia, by w ostatniém trzeciem, z głodu nie pomarli! W naszych wiejskich siedzibach jesteśmy patryarchami, w kongressie przewodnikami w walce za nieograniczoną wolnością. Bez nas już dawno bylibyście niewolnikami waszych banków i stowarzyszeń spekulacyjnych. Systemat fabryk północy jest daleko gorszym nieprzyjacielem wolności, aniżeli niewola Murzynów. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

ROZMAITOŚCI.

— Lekarz cesarza marokańskiego, który teraz bawi w Anglii w celu opatrzenia się w europejskie lekarstwa, daje zajmujący opis państwa marokańskiego; szczególniéj zasługują uwagi jego względem niektórych lekarstw i sposobów leczenia afrykańskiego. Najwięcéj zawdzięcza sposobów leczenia mieszkańcom gór atlasu i koczującym pokoleniom Sahary. We wielu chorobach okazuje się skuteczność jego leczenia, gdzie sztuka europejska nie sięga. Zapewne to nas nie zadziwi, skoro zastanowimy się, iż wiele sposobów leczenia używanych w Europie pochodzi od dzikich narodów, do tego policzyć należy korzonki wężowe, peruańską korę i t. d. W środku Sahary czyli wielkiéj pustyni znajduje się skała magnetyczna, z któréj sączy woda w małéj ilości w kształcie rosy, która posiada nadzwyczajne własności. Czyli przez magnetyzm udziela jéj się elektryczność lub w inny sposób, niewiadomo, tyle jest przecie rzeczą pewną, że posiada przymioty, które siły życia znacznie obudzają, np. przywraca siwym włosom dawny kolor. Wodę tę przewożą na szybkich dromedarach do cesarskiego dworu do Maroko, a skutki jéj są według świadectwa tego lekarza nadzwyczajne, których niemożna wyjaśnić ze stanowiska umiejętności, na jakiém się teraz znajdują. Zwyczajna woda do picia uletnia się w skórzanych naczyniach karawan, które przechodzą pustynię, w skutek panujących tam suchych wiatrów, tymczasem woda ze skały magnetycznéj nie ginie.

— Osobliwy przypadek prawny. W pewnéj uczonéj książce (o francuzkich sądach przysięgłych), jest przytoczony w celu poparcia zdań autora następujący przypadek prawny. W Edynburgu był hotel pod nazwiskiem „złoty lis,“ licznie zwiedzany, gdyż goście znajdowali tam wszystkie wygody za pomierne ceny. Dnia 15. Stycznia 1832. przybyła téż tam pani Donald, wdowa po bogatym bankierze z Glasgowa, ze swoją służącą i przeznaczono jéj izbę na trzeciem piętrze, w któréj ze swoją służącą zasnęła. Około północy przebudziła się dziewczyna, aby się cokolwiek napić, bo spać nie mogła dla palącego ją pragnienia. Przechodząc około łóżka swéj pani, pojrzała na kosztowny płaszczyk rozłożony na krześle, którego elegancyą często podziwiała. Zapaliła świecę i niemogła się oprzeć w swym wieku młodociannym, bo dopiero lat dziewiętnaście liczyła, aby płaszczyk przymierzyć, jak jéj będzie do twarzy. Wzięła go przeto na siebie, obejrzała się w zwierciadle i pomyślała z westchnieniem, szepcąc na pół głośno: „mój Boże, zkąd to pochodzi, że ja nie mam jeszcze kochanka!“ Potém położyła się spać, ukołysały ją sny najśliczniejsze, a kiedy obudziła się, już dawno dzień jaśniał. Wstała szybko, spojrzała mimowolnie na krzesło, na które położyła płaszczyk, zdziwiła się nie mało, gdy go tam nie zobaczyła i pomyślała, że pani się nim zapewne nakryła, aby jéj ciepléj było. Lecz pani się wcale nie rusza, dziewczyna odsłania kotarę i spostrzega z przerażeniem, że łoże skrwawione. Zaledwie tyle siły znalazła, aby drzwi otworzyć i zawołać o pomoc. Gdy ludzie nadbiegli, zastali dziewczynę omdlałą, a wdowę w łóżku zamordowaną. Gospodarz dbały o sławę swojego hotelu, utrzymywał, iż nikt tylko Julia popełniła tę zbrodnię. Nieszczęśliwa dziewczyna zaklinała się, że jest niewinną, jednak ją do więzienia wtrącono i stawiono przed sąd. Dla braku jednak dowodów wypuszczono, lecz zawsze zostawała w podejrzeniu, mimo całéj nieskazitelności swego charakteru. Wszyscy dawni znajomi i przyjaciele stronili od niéj. W głębokiéj zgryzocie przeszło rok przeżyła, gdy razu jednego chcąc odwiedzić swoją znajomą pół mili od Edynburga mieszkającą, pospieszyła na ulicę, gdzie były ustawione małe pojazdy, czekające na podróżnych. Wybrała jeden z lichszych pojazdów, przez co obudziła zazdrość dwóch innych doróżkarzy, którzy głośno z dziewczęcia się zaczęli natrząsać i śmiać, a jeden tak się nakoniec odezwał: „pamiętasz, jak ona wtenczas sobie szepnęła: mój Boże, zkąd to pochodzi, że ja nie mam jeszcze kochanka? Pewnie go jeszcze i teraz nie ma.“ Doróżkarze zaśmiali się, ale Julia podsłuchała ich z nadzwyczajném zadziwieniem. Słów, które owéj okropnéj nocy szepnęła, nikomu nie powierzyła, tyle miała jeszcze przytomności umysłu, iż nie dając po sobie poznać żadnego podejrzenia, oddaliła się pod wymyślonym pozorem, udała się natychmiast do lorda majora, oświadczyła mu co usłyszała i prosiła, aby obu doróżkarzy kazał uwięzić. Skoro ci nędznicy zoczyli młodą Julię Mowbray w towarzystwie sześciu policyantów, stracili natychmiast przytomność i wyznali późniéj przed sądem, że oni się ukryli w izbie, w któréj spała wdowa i ją tam zamordowali, w celu zabrania jéj rzeczy i pieniędzy.

— Okropne wydarzenie. Przed kilku tygodniami zamieściły gazety francuzkie wiadomość, że jednéj nocy został zatrzymany pewien słynny operator na ulicy przez trzech mężczyzn, którzy go wezwali, aby natychmiast z nimi się udał do pewnéj osoby, która go nagle potrzebuje. Wsadzono go do pojazdu, zawiązano oczy, a wymierzonym pistoletem znaglono go w pewnym domu, do odjęcia lewéj ręki kobiecie. Lekarz dopiero wówczas na to przystał, gdy go rzeczona kobieta na klęczkach prosiła, mówiąc, że jéj tym sposobem życie uratuje. Operacya ta zaostrzyła ciekawość wszystkich Paryżan, dopiero teraz jesteśmy w stanie podać do wiadomości ten wypadek w całym związku.

Młoda dama, Matylda ...... jest córką jednego z najsławniejszych wojowników Napoleona, który tylko na sławę zarobił, bez żadnego majątku. Był przyjacielem księżnéj ..... i oboje przyrzekli sobie, pożenić swe dzieci, lecz wkrótce żałowano tego, bo i syn księżnéj Napoleon ..... nie miał żadnego majątku. Młodzi ludzie kochali się namiętnie. Aby sobie życie zapewnić przyjął młody Napoleon urząd sekretarza przy dalekiém poselstwie. Przed odjazdem włożył na palec swojéj kochance pierścionek, mówiąc: nie zapomnij nigdy, żeś jest moją narzeczoną i że ta ręka do mnie należy. — Matylda przysięgła mu dozgonną wierność, lecz zaledwie kochanek wyjechał, starali się ojciec jéj i księżna do wstąpienia w śluby małżeńskie z innym. Ojciec skreślił jéj skutki nędzy, obawę przyszłości i dodał z tkliwością, że ona go tylko wybawi, jeżeli pójdzie za mąż za hrabiego ..... Matylda przywiązana do ojca zezwoliła z sercem zakrwawionėm, i dziesiątego Stycznia powiązał ją ślub małżeński z hrabią i podała z umysłu przy ślubie mu prawą rękę. Hrabia był zazdrosny jak Otello i żądał, by mu Matylda podarowała pierścionek z lewéj ręki;

oświadczyła mu, że się z pierścionkiem tym nigdy nie rozłączy i pod żadnym go warunkiem nie odda. Dla przekonania się, czyli jego obawa jest upowodowaną, nie spuszczał odtąd hrabia swéj małżonki z oka, i wkrótce nadszedł list od Napoleona.... który nic nie wiedział o smutnym dla siebie wypadku. Mówił w nim o swéj miłości i przyszłości, przypominał jéj, że ręka z pierścionkiem do niego należy i że ją po upływie miesiąca obaczy. List ten wpadł w ręce hrabiego, który natychmiast udał się do swéj żony i rzekł z zimnotą: teraz wiem o wszystkiém, dla czegoś się wprzód nie oświadczyła? Przysięgłaś, że ręka twoja do niego tylko należy, dobrze więc, ja sam starać się będę, by twoja przysięga dotrzymaną była. — Matylda bynajmniéj nie zadrzała, bo na tym świecie nie miała się już czego obawiać. W miesiąc potém przybył Napoleon.... do Paryża, ale pełen rospaczy, bo dowiedział się o swém nieszczęściu. Dnia następnego po przybyciu odebrał szkatułkę, otwiera ją, i widzi kobiecą rękę, rękę Matyldy, z pierścionkiem, który jéj podarował! Obok ręki leżał bilecik z napisem: tak dotrzymuje słowa hrabina.... Operatora zna każdy w Paryżu i Napoleon.... o nim się dowiedział, pobiegł przeto do niego i dowiedział się o szczegółach; „nie wiele ucierpiała“, rzekł lekarz, „prawdziwe natchnienie utrzymało jéj odwagę, jestem przekonany, że czuła się szczęśliwą, iż będziesz posiadał jéj rękę z pierścionkiem. Kiedym ukończył operacyą, szepnęła do mnie z za kotary, przez którą wyciągnęła rękę, powiedz mu, że moje serce towarzyszy mojéj ręce.“

Hrabia opuścił z swoją nieszczęśliwą żoną Paryż, a Napoleon.... udał się do Algieru, w zamiarze, by kula litościwa z ręki Beduina życie mu odjęła, które mu teraz tylko jest ciężarem.

MODY.

Paryż, dnia 7. Maja 1846.

Najpiękniejszą nowością, którąśmy w tych dniach widzieli, są osłony zwane persane, w kształcie dawnych opończy, w ciemnych kolorach i orzucone pasamonami tak, że się zdają być na około ohaftowanemi w najpiękniejsze wzory. Persany mają prawdziwy typ orientalny, połączony z paryskim smakiem. Okrywa damy z wielką elegancią i zapewne upowszechni się w letniéj porze u wód. Maleńkie rękawy otwarte na ramionach są zasznurowane lekkim jedwabnym sznureczkiem, zakończonym w kutasy.

Obok persanu widzieliśmy płaszczyki Izabelli, które z tyłu są podobne do okrągłych mantyl osutych szerokiémi koronkami. W górze ramienia ujęte są koronki w kokardę hiszpańską z wstążki, w kolorze tkaniny, przez co ruchu nie psują.

Nadto widzieliśmy mantyllę, która z tyłu wyglądała jak kapryska, a z przodu jak szal. Obie koronki z przodu tak się rozchodzą, iż widać z pod nich piękny haft.

I sułtanki są nowe. Przypominają nam kapryski, ale różnią się od nich, iż są z przodu rogate i zupełnie zapięte. Osute są dwiema falbanami, i druga tworzy z każdéj strony pewien rodzaj zdobnego rękawa. Falbany są orzucone pasamonami lub piękną koronką.

Potém następują chatelaine mantylle z szerokiemi, zębiastemi falbanami, które ukośno są przyszyte, mantylle czerkiesowe i tysiące innych.

Najulubieńsze kapelusze są krepowe, ze słomy ryżowéj, ściągane kapelusze z tulu i koronek.

Z ozdób wyliczamy piękne tureckie zausznice ze złota i emalii, zupełnie coś nowego. Wiele dam spina swe kaszemirowe szale szpilkami ozdobionémi kameami. Złote grzebienie wchodzą w modę. Nosić je będą cokolwiek wyżéj, jak ubiegłéj zimy.

Canezous także się podobają. Najnowszy ich kształt ma z przodu dwie rozchodzące się poły, które się na biodrach zaokrąglają, podobnie jak staniki z połami. Na piersiach są przymocowane zapomocą kokardek z wstążek lub też zapięte na szpilkę z potrójnym łańcuszkiem. U każdego łańcuszka w końcu znajduje się kamea lub jaki drogi kamień. Inne canezous są otwarte aż do przepaski i z haftowanego muślinu w dwa lub trzy rzędy wód.

Nigdy jeszcze przemysł niedostarczył tak pięknych wstążek, jak w tym roku. Wszystkie kolory i cienia są uroczo połączone. Szkockie wstążki biorą na rano do kapeluszów. Do przezroczystych kapeluszy niebieskie lub jasno zielone kitajkowe, lub też lilijowe z paseczkiem wyglądającym nakształt bórty słomkowéj. Wstążki noszą na kołnierzykach, mankietkach z wenecyańskich koronek i na czepeczkach rannych.

Objaśnienie ryciny.

1. Frak ze złotémi guzikami. Kolorowy krawat. Pantalony w paski.
2. Krótki surdut. Kamizelka pikowa. Pantalony z pasistéj tkaniny.
3. Kapelusz jedwabny orzucony pasamonami. Ubiór jedwabny osuty falbanami.

Redaktor *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*